

Adam Mickiewicz Dziadów części III Ustęp

Oleszkiewicz

Dzień przed powodzią petersburską 1834

Gdy się najtęższym mrozem niebo żarzy,
Nagle zsiniało, plamami czernieje,
Podobne zmarzłej nieboszczyka twarzy,
Która się w izbie przed piecem rozgrzeje,
Ale nabrawszy ciepła a nie życia,
Zamiast oddechu, zionie parą gnicia.
Wiatr zawiał ciepły. — Owe słupy dymów,
Ów gmach powietrzny jak miasto olbrzymów.
Niknąc pod niebem jak czarów widziadło,
Runęło w gruzy i na ziemię spadło:
I dym rzekami po ulicach płynął,
Zmieszany z parą ciepłą i wilgotną;
Śnieg zaczął topnieć — i nim wieczór minął,
Oblewał bruki rzeką Stygu błotną.
Sanki uciekły, kocz i landary
Zerwano z płozów; grzmiały po bruku koła;
Lecz pośród mroku i dymu, i pary
Oko pojazdów rozróżnić nie zdoła;
Widać je tylko po latarek błyskach,
Jako płomyki błędne na bagniskach.

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem
Ogromnej Newy; lubią iść o zmroku,
Bo czynowników unikną widoku
I w pustym miejscu nie zejda się z szpiegiem.
Szli obcym z sobą gadając językiem;
Czasem pieśń jakąś obcą z cicha nuca,

Czasami staną i oczy obróćą,
Czy kto nie słucha? — nie zeszli się z nikim.
Nucąc błędzili nad Newy korytem,
Które się ciągnie jak alpejska ściana,
Aż się wstrzymali, gdzie między granitem
Ku rzece droga spada wyrębana.
Stamtąd, na dole, ujrzeli z daleka
Nad brzegiem wody z latarką człowieka:
Nie szpieg, bo tylko śledził czegoś w wodzie,
Ani przewoźnik, któż pływa po lodzie?
Nie jest rybakiem, bo nic nie miał w ręku
Oprócz latarki i papierów pęku.
Podeszli bliżej, on nie zwrócił oka,
Wyciągał powróż, który w wodę zwisał,
Wyciągnął, węzły zliczył i zapisał;
Zdawał się mierzyć, jak woda głęboka.
Odblask latarki odbity od lodu
Oblewa jego księgi tajemnicze
I pochylone nad świecą oblicze
Żółte, jak obłok nad słońcem zachodu:
Oblicze piękne, szlachetne, surowe.
Okiem tak pilnie w swojej księdze czytał,
Że słysząc obcych kroki i rozmowę
Tuż ponad sobą, kto są, nie zapytał,
I tylko z ręki lekkiego skinienia
Widać, że prosi, wymaga milczenia.
Coś tak dziwnego było w ręki ruchu,
Że choć podróżni tuż nad nim stanęli,
Patrząc i szepcąc, i śmiejąc się w duchu,
Umilkli wszyscy, przerwać mu nie śmieli.
Jeden w twarz spojrzał i poznał, i krzyknął:

„To on!” — I któż on? — Polak, jest malarzem,
Lecz go właściwiej nazywać guślarzem,
Bo dawno od farb i pędzla odwyknął,

Bibliją tylko i kabałą bada,

I mówią nawet, że z duchami gada.

Malarz tymczasem wstał, pisma swe złożył

I rzekł, jak gdyby rozmawiając z sobą:

„Kto jutra dożył, wielkich cudów dożył,

Będzie to drugą, nie ostatnią próbą;

Pan wstrząśnie szczeble assurskiego tronu,

Pan wstrząśnie grunty miasta Babilonu;

Lecz trzecią widzieć, Panie! nie daj czasu!”

Rzekł i podróżnych zostawił u wody,

A sam z latarką z wolna szedł przez schody

I zniknął wkrótce za parkan terasu.

Nikt nie zrozumiał, co ta mowa znaczy;

Jedni zdumieni, drudzy rozśmieszeni,

Wszyscy krzyknęli: „Nasz guślarz dziwaczy!”

I chwilę jeszcze stojąc pośród cieni,

Widząc noc późną, chłodną i burzliwą,

Każdy do domu powraca co żywo.

Jeden nie wrócił, lecz na schody skoczył

I biegł terasem; nie widział człowieka,

Tylko latarkę jego z dala zoczył,

Jak błędna gwiazda świeciła z daleka.

Chociaż w malarza nie zajrzał oblicze,

Choć nie dosłyszał, co o nim mówili,

Ale dźwięk głosu, słowa tajemnicze

Tak nim wstrząsnęty! — przypomniał po chwili,

Że głos ten słyszał, i biegł co miał mocy

Nieznaną drogą, wśród słoty, wśród nocy.
Latarka prędko niesiona mignęła,
Coraz mniejszała, zakryta mgły mrokiem
Zdała się gasnąć; wtem nagle stanęła
W pośrodku pustek na placu szerokim.
Podróżny kroki podwoił, dobiega;
Na placu leżał wielki stos kamieni,
Na jednym głazie malarza spostrzega:
Stał nieruchomy pośród nocnych cieni.
Głowa odkryta, odsłonięte barki,
A prawa ręka wzniesiona do góry,
I widać było z kierunku latarki,
Że patrzył w dworca cesarskiego mury.
I w murach jedno okno w samym rogu
Błyszczało światłem; to światło on badał,
Szeptał ku niebu, jak modląc się Bogu,
Potem głos podniósł i sam z sobą gadał.

„Ty nie śpisz, carze! noc już wkoło głucha,
Śpią już dworzanie — a ty nie śpisz, carze;
Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,
On cię w przeczuciach ostrzega o karze.
Lecz car chce zasnąć, gwałtem oczy zmruża,
Zaśnie głęboko — dawniej ileż razy
Był ostrzegany od anioła stróża
Mocniej, dobitniej, sennymi obrazami.

„On tak zły nie był, dawniej był człowiekiem;
Powoli wreszcie zszedł aż na tyrana,
Anioły Pańskie uszły, a on z wiekiem
Coraz to głębiej wpadał w moc szatana.

Ostatnią radę, to przecucie ciche,
Wybije z głowy jak marzenie liche;
Nazajutrz w dumę wzbiją go pochlebcę
Wyżej i wyżej, aż go szatan zdepcze...

„Ci w niskich domkach nikczemni poddani
Naprzód za niego będą ukarani;
Bo piorun, w martwe gdy bije żywioły,
Zaczyna z wierzchu, od góry i wieży,
Lecz między ludźmi naprzód bije w doły
I najmniej winnych najpierwej uderzy...

„Usnęli w pjaństwie, w swarach lub w rozkoszy,
Zbudzą się jutro — biedne czaszki trupie!
Spijcie spokojnie jak zwierzęta głupie,
Nim was gniew Pański jak myśliwiec sploty,
Tępiący wszystko, co w kniei spotyka,
Aż dojdzie w końcu do legowisk dzika:

„Słyszę! — tam! — wichry — już wytknęły głowy
Z polarnych lodów, jak morskie straszidła;
Już sobie z chmury porobili skrzydła,
Wsiedli na falę, zdjęli jej okowy;
Słyszę! — już morska otchłań rozchełznana
Wierzga i gryzie lodowe wędzidła,
Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma;
Już! — jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma —
Wkrótce rozkują; — słyszę młotów kucie...”

Rzekł i postrzegłszy, że ktoś słucha z boku,
Zadmuchnął świecę i przepadł w pomroku.

Błysnął i zniknął jak nieszczęść przecucie,
Które uderzy w serce, niespodziane,
I przejdzie straszne — lecz nie zrozumiane.